

jak ulubioną telenowelę. Przy czym w irlandzkiej prognozie pogody nie podaje się ciśnienia powietrza.

Na leczenie do Irlandii.

Parokrotnie byłem klientem dublińskich doktorów, pielęgniarek a ostatnio nawet fizjoterapeutek. Złamałem sobie najmniejszą kostkę w najmniejszym palcu prawej ręki. Pokazywałem bratu niezawodną metodologię rąbania drewna, skończyło się złamaniem części mojego drogiego mi ciała, nad istnieniem której do tej pory się nie zastanawiałem. Trach i durny klocek spadł mi na łapę. Nie to, żeby moja metodologia była zawodna, albo że bym był kiepskim mentorem drwało - rębaczowym. Nic z tych rzeczy. Po prostu należy chłać po machaniu siekierą, a nie przed. Dobrze, że sobie łba nie odrąbałem. Po tak wesoło spędzonym czasie w Polsce powróciłem na łono macochy Irlandki i zażądałem, by ta mnie leczyła. Szło nawet sprawnie. Wsadzili mi palca w plastikową tutkę i tak kazały mnie doktory łązić po irlandzkiej ziemi. Nosilem się z plastikiem dumnie, a ludziska współczuły. I nic by w tym dziwnego nie było, gdyby nie okazało się, że po zaordynowaniu ściągnięcia usztywnienia, przynależy mi rehabilitacja. Ale jaja! Jak wygląda rehabilitowanie małego palca u ręki? Postanowiłem sprawdzić i mam teraz najlepiej wymierzonego małego palca na świecie. Co dwa tygodnie badano z uwagą progres w funkcjonowaniu małej kostki u małego palca. Czy się podnosi, czy raczej opada? Pytano, jak to się ma do wykonywanego przeze mnie zawodu. Odetchnęliśmy wszyscy z ulgą, gdy wyszło na jaw, że nie jestem pianistą. Mała kostka w moim małym palcu mogłaby złamać mi karierę. Mógłbym nigdy nie zagrać już Chopina, do wykonywania którego muzyki w pełni sprawny mały palec jest absolutnie niezbędny. Nie mógłbym też, jak się zdaje, zostać zawodowym tenisistą i zagrać w US Open. Byłaby to niepowetowana strata dla tej dyscypliny sportu i jej wiernych kibiców, którzy wydają fortunę, żeby móc wyrzucić z siebie pełne emocji „Oooo”, kiedy tenisista nie trafi piłką w pole, w które powinien trafić. I pewnie mnie by się to zdarzyło, bo bym nie trafił z powodu źle zrehabilitowanego małego palca. Na szczęście nie gram w tenisa. Ustalono natomiast, że zawód dziennikarza z krzywym małym palcem można wykonywać bez problemu, czyli z palcem w dupie. Nie przerwano mimo to ściągania wymiarów z palca. Po czterech wizytach uznałem, że mam już dość tej groteski i nie stawilem się na kolejne wyznaczone ze skrupulatnością wielką pomiary. Dwa dni później dostałem oficjalne pismo w tej sprawie. Grożą w nim, że jeśli w ciągu miesiąca nie dam znaku życia, to, o zgrozo, skreślą mnie z listy i terapii nie będzie. Zawstydzono mnie zaiste, bo jak można być tak nieodpowiedzialnym facetem, który nie dba o to, czy koniuszek palca uniósł się o kolejną dziesiątą część milimetra, czy może pozostaje w pozycji bez zmian? Co by się stało, jakiej terapii mógłbym oczekiwać, gdyby urwało mi nogę? Kto płaci za te fanaberie? Pan, pani, społeczeństwo, chciałoby się rzec.

Wypad w miasto.

Chciałem sobie na koniec pojeździć taksówką po Dublinie. Miałem zamiar dotrzeć do „Focus” Theatre, gdzie Polacy wystawiali sztukę „Zapach czekolady” niejakiego Paczochy. Właściwie to wybrałem się piechotą, po ówczesnym sprawdzeniu w Google mapie jak tam dojść, ale się zgubiłem. Zatrzymałem więc taxi z dziarskim Irish taxi-driverem. Kto jak kto, ale taksjarsz drogę będzie znał. No i heca, bo irish-driver się zgubił. Jak się okazało później jakieś pół kilometra przed celem podróży. Po drodze zatrzymywał się, pytał przechodniów o ten teatr, a ludzie mu objaśniali, zaś ten ciągle kluczył i się motał. Utwierdziłem gościa po wielokroć w przekonaniu, że to nie nazwa pubu, tylko prawdziwy teatr, Chryste, w ojczyźnie S. Becketta takie cyrki! Po półgodzinnej przymusowej wycieczce w końcu się poddał. Próbowałem złapać następną drajwę,

ale przezornie najpierw pytałem, czy drajwiarz wie, gdzie jest ten teatr, później, czy wie w ogóle, co to teatr, później się poddałem. W tym momencie jak na zawołanie pojawił się mój pierwszy przewoźnik i radośnie zaklaksonił na mnie, bo dowiedział się, gdzie teatr „Focus” ma siedzibę. Po godzinie zatem byłem na miejscu. Wracalem na piechotę, do domu szedłem piętnaście minut. Do tej pory nie wiem, czy facet nie wiedział, gdzie mnie wieść, czy celowo krążył po mieście, żeby licznik nabił więcej? Za fatalny kurs nie zapłaciłem mu, więc chyba naprawdę nie wiedział. Wieczorem znów pójde w miasto, więc pewnie spotka mnie coś równie wesołego.

2. Jak integrują się Polacy z miejscowymi w Irlandii?

O domniemanym braterstwie Polaka i Węgra dowiadujemy się w szkole na lekcji historii. Dziś na wojny jeździmy z Amerykanami w dalekie kraje, ale nikt jakoś nie przekuwa tych eskapad w braterstwie broni na stereotypy językowe. Mimo dużej emigracji polskiej i licznej diaspory Polaków we Francji, także nie doczekaliśmy się żadnego powiedzonka trwale osadzonego w języku polskim, które oddawałoby jakąś szczególną więź między tymi dwoma narodami. Co natomiast zbliża, a co dzieli Polaków i Irlandczyków?

Miłości polsko – irlandzkie.

Kiedy mowa jest o mieszanych parach polsko – irlandzkich w przytłaczającej większości chodzi o Polkę i Irlandczyka. Panowie doceniają urodę, pracowitość, gospodarność i oszczędność Polek. Rzadkością są związki złożone z Polaka i Irlandki. Przyczyną może być tu bariera językowa (wydaje się, że Polki lepiej znają angielski, niż Polacy), mit, że każdy Irlandczyk, który ma dobre auto, jest bogaty lub wygórowane aspiracje finansowe Irlandek, zwłaszcza tych z dużych miast (utyskują na to nawet zamożniejsi od imigrantów z Polski, Irlandczycy), stereotyp biednego imigranta z Europy Wschodniej na dorobku pokutujący wśród zamożnej irlandzkiej klasy średniej oraz często opinia „polskiego prostaka i gbura”. Stąd większy dystans, a może po prostu Polacy nie mają tyle śmiałości, co Irlandczycy, żeby nawiązywać znajomości z płcią przeciwną innej narodowości? Co ciekawe, Irlandczycy często podkreślają, że Polki są nieco za chude i ciągle im zimno. Jedną z par mieszanych w Irlandii jest Karen i Jacek. Niedawno odbył się chrzest ich córki, Zosi, a dla rodziny Karen, Sofie. Karen i Jacek mieszkają pod Listowel, to miejscowość w południowo – zachodniej części Irlandii, w hrabstwie Kerry, które przez niektórych jest uważane za najładniejsze w kraju. Pytany o zasadnicze różnice między typowymi związkami Polaków a związkiem mieszanym, Jacek opowiada.

Jacek i Karen: *Są sfery życia, gdzie my, Polacy, rozumiemy się bez zbędnych słów i to, co jest dla nas oczywistością, wcale nie jest dla Irlandczyków. Na przykład, dziś, miała przyjechać siostra Karen, żeby pomóc w ten ostatni wieczór przed chrzcinami Zosi, ale odwołała w ostatniej chwili przyjazd, bo źle się poczuła. W Polsce rodzina w takich sytuacjach „staje na rękach”, żeby pomóc, a tu nie ma siły, żeby było coś ważniejszego od indywidualnego samopoczucia. Na początku może to wywoływać frustracje, ale z czasem człowiek się przyzwyczaja i też uczy się takiej swoistej spolegliwości na to, co się dzieje dookoła niego. Coś się zdarzyło i trudno. Nie zrobiła dziś, robi jutro. To działa w obie strony, bo wymagają oni w stosunku do siebie wyrozumiałości, ale sami też ją nam, emigrantom, okazują. Przede wszystkim Irlandczycy celowo nie szkodzą. Irlandki są bardziej niezależne i wyrozumiałe i nie udaje się im narzucić swojej woli, są bardziej niezależne niż Polki. Jest dużo większy luz. Jednocześnie Irlandczycy są bardziej konsekwentni w dążeniu do celu. Kiedy Irlandczyk napotyka na przeszkodę w dążeniu do celu, to zawsze się z nią upora, żeby ostatecznie osiągnąć, co zamierzał. Polacy często tracą za dużo energii na rozwiązywanie mało znaczących problemów i zapominają o celu, jaki sobie postavili do zrealizowania. Ja mam więcej wiedzy teoretycznej, a Karen więcej zdrowego rozsądku i tak się uzupełniamy. Kiedy Karen jest zmęczona i nie ma ochoty nic robić, to po prostu nie robi nic. Wtedy ja muszę się wziąć za obowiązki domowe. Są jednak dla nas absolutne priorytety w domu, jak, na przykład, dziecko i tu nikt nie dyskutuje, kto ma co zrobić przy Zosi, tylko działamy wspólnie. Przeżywamy mniej stresów, bo jeśli nie chce się nikomu ugotować obiadu, to zamawiamy sobie coś w take-away i nikt nie robi problemu. Ludzie w Irlandii bardziej ułatwiają sobie życie niż w Polsce. Kiedyś przeszkadzało mi to, że nie ma w Irlandczykach takiego obowiązku poświęcania się dla drugiej osoby, że kiedy coś obiecują, to nie są słowni i czeka się na wiele rzeczy miesiącami. Teraz mnie to nie drażni, bo się*

zżyłem z tą kulturą i ją akceptuję. Polacy przez lata komunizmu wyzbyli się kreatywności i stąd są bardziej usztywnieni i polegają na tradycji i biurokracji, bo boją się zmieniać cokolwiek ze swoich przyzwyczajzeń. Patrząc z perspektywy 10 lat, to niewyobrażalne byłoby dla mnie i mojej rodziny, by moja czteromiesięczna córeczka po własnych chrzcinach siedziała w wózku w knajpie. Wtedy byłby to dla mnie dowód, że się stoczyłem, a z perspektywy irlandzkiej wygląda to zupełnie inaczej.

Karen stwierdza krótko: *Dla mnie nie ma żadnej różnicy, czy Jacek jest Polakiem czy Irlandczykiem. Myślę, że faceci w Polsce i w Irlandii są podobni, a poza tym Jacek zdecydowanie nie jest podobny ani do typowego Polaka ani typowego Irlandczyka.*

Patrycja i Paul z Dublina. *W związku z obcokrajowcem nigdy nie jest tak samo jak z Polakiem. Przede wszystkim z racji języka, ale także ogólnie pojętych różnic kulturowych. Są to czasem śmieszne drobiazgi, które już od rana w domu wskazują na różnice w zwyczajach. Paul, na przykład, nie miał pojęcia co to jajecznica. Różnice tkwią w szczegółach, choćby w kwestii spędzania wolnego czasu: Irlandczycy, pewnie z racji pogody, preferują przebywanie w domach lub pubach, nie w plenerze, jak Polacy. W Polsce, wydaje mi się, ludzie chętnie wychodzą na zewnątrz, są grille, parki, spacer, itp. Irlandczycy spotykają się ze znajomymi w domu lub pubie. Główną barierą zawsze będzie stanowił język, bo nigdy nie uda się wyrazić wszystkiego w języku wyuczonym, nieswoim. Jeśli chodzi o tolerancję, to jest to sprawa bardzo osobista i nie dzieliłabym tego, kto jest bardziej zaborczy, Polak czy Irlandczyk? Mój Irlandczyk nie jest rozrzutny i bardzo sobie ceni porządek, dom i rodzinę, więc nie pasuje do stereotypu typowego Irlandczyka. Wydaje mi się, że Irlandczyków przyciąga nie tyle słowiańska uroda Polek, co inność. Podobają się przecież także Hiszpanki, bo są zupełnie inne niż Irlandki. Osobiście nie lubię niepunktualności, a zdarza się często, że Irlandczycy są niepunktualni. Irlandczycy z niczym się nie śpieszą. Dewizą tu nie jest nawet to, że „czego nie zrobię dziś, to zrobię jutro”, ale: „bez znaczenia jest, kiedy coś zrobię, lecz ważne, że w ogóle będzie to zrobione”. Nie lubię kultury spędzania 7 dni w tygodniu w pubie i zwyczaju wożenia dzieci w wózkach nawet do 7 roku życia. Generalnie zaś ja już nie zwracam uwagi na to, że żyję z Irlandczykiem w „multikulturowym związku”. Dla mnie jest on po prostu moim facetem, którego kocham.*

Paul: *Byłem w Polsce i największe wrażenie zrobiła na mnie chyba tradycyjna polska rodzina Patrycji. Podziwiałem uroki Krakowa, ale także piękne pory roku, których w Irlandii nie ma.*

Chrzcziny po irlandzku.

Jeśli chodzi o celebrowanie chrzcin, to zasadnicza różnica jest taka, że uroczystość organizuje się w pubie, nie w domu. W Polsce też coraz częściej wynajmuje się lokal do świętowania tej ceremonii, ale w irlandzkim pubie chodzi jeszcze o coś więcej: to miejsce, które zawsze służyło do integracji ludzi, gdzie ludzie się spotykali. Jest w Irlandii powiedzenie, że „w pubie możesz spojrzeć w lewo i zostać milionerem i możesz spojrzeć w prawo i pójść do więzienia”, bo tu możesz spotkać wszystkich: tych którzy mogą odmienić twoje życie na lepsze i na gorsze. W pubie na przyjęciu gospodarze zamawiają niewielki posiłek, a alkohol każdy kupuje sobie sam. Nikt się też nie stresuje, czy gościom będzie smakowało i żeby dopieścić wszystkie gusta. Jeśli komuś nie smakuje jedzenie, może sobie zamówić coś innego. Biesiadowanie kończy tort, który pieczony jest specjalnie na tę okazję z podobizną chrzczonego dziecka. Irlandczycy dbają, by ludzie się przede wszystkim dobrze czuli a nie robili coś z obowiązku, bo tak trzeba albo wypada. Nikt w Irlandii nie dodaje sobie niepotrzebnej pracy. Mają dzięki temu psychiczny komfort i są panami własnego losu. Okazuje się, że tropiąc różnice między Polakami i Irlandczykami nie natrafiamy na przepastne rowy między tymi dwoma kulturami i narodami. Poza historią i religią mieliśmy nawet, jak się okazuje, te same bajki w telewizji, tylko pod inną nazwą i

w latach osiemdziesiątych wyłącznie po dwa kanały telewizyjne. W kościele tacy sami parafianie jak w Polsce, choć zdecydowanie bardziej uśmiechnięci. W ogóle Irlandczycy zawsze są uśmiechnięci w kontaktach z drugim człowiekiem. Polacy jeszcze się nie nauczyli sztuki uśmiechu. Ksiądz, widząc sporo nowych twarzy na mszy, zaordynował, by każdy przywitał się ze swoimi sąsiadami i przedstawił się, by dzięki temu poznać się i poczuć jedność wspólnoty. Później wpadł na chwilkę do pubu na małego Guinnessa i aby powinszować rodzicom Zosi. Stwierdził w rozmowie, że fala emigracji dobrze się przyczyniła Irlandii, bo dzięki temu Irlandczycy wyszli z mentalnej izolacji i bardziej otworzyli się na świat. Nikt z nich nie narzekał, nie szydził z emigrantów, nie uskarżał się na swój los. Byli przyjaźni i serdeczni. Dorośli mężczyźni wygłupiali się pozując do zdjęć. Cieszyli się życiem. Taka właśnie jest Irlandia, pełna zadowolonych z życia Irlandczyków, których nie sposób nie polubić. Naukę dla nas Polaków można wynieść taką, że życzliwość rodzi życzliwość a uśmiechając się do ludzi powodujemy że świat staje się piękniejszym miejscem do życia.

3. Daj odpocząć Marianowi!

Na Onecie pojawił się niejaki Marian, który ma uchodzić za obraz typowego polskiego emigranta. Według blogera Piotra Słotwińskiego, statystyczny polski emigrant ma na imię Marian, lat 38, pochodzi ze wsi z okolic Kalisza i nosi wąsy. "W Polsce zostawił żonę z dwójką dzieci, ale tutaj (na emigracji), pod polskim kościołem poznał Tereskę, lat 32, w separacji, z którą obecnie mieszka. Marian jest malarzem (ale nie artystycznym), więc pracuje w różnych miejscach, do których dowozi go brat szefa, toteż Mariana można codziennie rano spotkać przy bankomacie albo na rogu, skąd jest zabierany do pracy" – to dopiero początek opisu, bo w tekście, pod tytułem: „Wytnij sobie Mariana”, autor mnoży mutacje, alegorie i algorytmy opisanego wizerunku polskiego emigranta i za każdym razem wychodzi mu na to, że Polak za granicą to ćwok, burak oraz kmiot.

Może w Anglii zadekowały się wszystkie polskie Mariany? Bo skoro nie ma ich w Irlandii? Na pewno nie ma Marianów w Polsce. W kraju nad Wisłą wszyscy są piękni, bogaci, mądrzy, uśmiechnięci i kochają doktora Lubicza oraz Nataszę Urbańską. Nadto, to właśnie ci, i tylko ci, którzy tacy piękni nie są, emigrowali. Wąsy Polakom zaś wyrastają natychmiast po przekroczeniu granicy RP.

O wąsatym jegomościu, sympatycznym skądinąd, którego główną wadą ma być odkładanie funta za funtem na „toyotę przepiękną aż strach”, śpiewała i grała Budka Suflera; o chłopakach w tureckich dżinsach na rogach ulic Berlina Zachodniego handlujących polskim masłem śpiewał z Big Cycem Skiba. Tak było i nie wróci więcej. Kto twierdzi inaczej, nie był najwyraźniej dawno na Wyspach. Opisywanie w ten sposób współczesnej emigracji z Polski to jak wyciąganie trupów z szafy. Wystarczy rozejrzeć się dookoła, by stwierdzić, że Marian raczej został w Polsce lub bardzo prędko wrócił z emigracji nad Wisłę właśnie z powodu własnej nieprzystawalności do świata. Dotyczy to także podstawowej mutacji Mariana nowej generacji: czyli, dresu, łysej głowy, byczego karku i konsekwentnie wielkiego krowiego łańcucha ze szczerego złota na szyi. Ciec na bramce dyskoteki w Dublinie słabo przypomina ciecica z warszawskich klubów. Nieznośne jest, gdy ludzie ogłaszają poglądy o sprawach i rzeczach, o których nie mają bladego pojęcia.

Po pierwsze współczesny Polak na emigracji jest młodszy. Przed rokiem 1989 w celach zarobkowych jeździli na Zachód (głównie do Niemiec) trzydzistoparolatki, mający w Polsce rodzinę, stałą pracę, malucha (fiat 126p) oraz brak perspektyw na przyszłość w szarym komunistycznym świecie. Najczęściej jeździli w ramach nieco przedłużonego urlopu, by po powrocie móc kupić wymarzone mieszkanie w bloku i/lub nowy samochód marki polonez ewentualnie 15-letniego mercedesa „puchatka”. Z reguły emigracja zarobkowa nie osiedlała się na stałe poza granicami PRL. Zdarzało się oczywiście, że apetyt rósł w miarę jedzenia i gdy już ktoś zarobił na mieszkanie pragnął nagle na mały dom z małym ogrodem, potem na większy dom z większym ogrodem, a później na jeszcze większy dom z jeszcze większym ogrodem. Bardzo ważne w tamtym czasie było przywiezienie do kraju nie tyle gotówki (za którą i tak nie można było nabyć wiele towarów, bo ich nie było), co sprzętów użytku codziennego (pralki, lodówki, telewizora, odtwarzacza video itp.). W trakcie pobytu na saksach nieodzownym elementem funkcjonowania emigranta było wysyłanie rodzinie paczek z żywnością, odzieżą, chemią i kosmetykami lub zabawkami i przyborami szkolnymi. Ten czas minął bezpowrotnie. Dziś wszystko wygląda inaczej. Homo emigrantus z Polski na Wyspach ma inne zmartwienia niż dom z małym czy dużym ogrodem, bo trzeba zapłacić rent landlordowi i rachunki bieżące tu na miejscu. A to nie jest mało. O własnym mieszkaniu pomyśli ale nie w kraju, bo lepiej, żeby rodzina przyjechała do Irlandii (Anglii, Szkocji) i się tutaj osiedliła. Samochód przestał być towarem luksusowym; niegdysiejsze marzenie życia i owoc kilkuletniej pracy jest dziś dostępny za jedną tygodniówkę, jaki to więc luksus? Kto w Irlandii myśli o pralce lub lodówce, skoro stanowią one standardowe wyposażenie w

każdym wynajmowanym domu i mieszkaniu. Czasem kupujemy lepszy telewizor, nowy laptop albo peceta. Coraz częściej Polacy w Irlandii kupują domy. Jasne jest, że również odkładamy, mamy jakieś oszczędności, ale generalnie więcej wydaje się na miejscu, na Wyspie, niż śle do Polski na nowe AGD albo remont domu. Odwrotnie niż „pokolenie Marianów”. Nie twierdzę, że nikt tego nie robi. Znam wiele osób, które do Irlandii przyjechały na krótko, by szybko zarobić na spłatę kredytu w Polsce. Jednak ogromna większość Polaków na Zielonej Wyspie wydaje ciężko zarobione euro na miejscu. Jeździmy na wycieczki do ciepłych krajów, o których Marian, będąc w 1985 r. we wsi pod Frankfurtem nad Menem, nawet nie śnił. Marian pracował jak pół-niewolnik u bauera na czarno, w Irlandii Polakom przysługuje opieka socjalna, jeśli po roku (sic!) stracili pracę, zasiłek na dzieci etc. Mało kto „młóci overtajmy”, bo nadmiar nadgodzin zwyczajnie szkodzi. Urząd Skarbowy skutecznie studzi zapędy hiper-robociarzy. Ogromna rzesza Polaków w Irlandii studiuje na irlandzkich uczelniach. Niemal wszędzie można natknąć się na jakiegoś menadżera Polaka. Co oni mają wspólnego z Marianem? Kiedyś Polkę na dublińskiej ulicy można było rozpoznać po ubiorze z kilometra. Dziś albo wszystkie te Lale wróciły na łódzkie i lublińskie blokowiska albo się ucywilizowały i noszą się z irlandzka (nonszalancko, niedbale i często bez gustu, ale za to trendy). Polki wtopiły się w tłum i już nie wiadomo z daleka, czy idą Niemki, Holenderki, Irlandki czy Polki. Nie ryczy już także na każdym rogu, w autobusie i tramwaju jak hejnał swojskie: „kurwa”, zatem nie wiadomo w pierwszej chwili, z kim się ma przyjemność. Jeszcze kilka lat temu, pasażerowie Ryanaira na trasach Polska – Irlandia, przypominali w połowie zbiegów z poprawczaka, a w drugiej weselników. Dziś, poza bezstresowo wychowywanymi rozdartymi dziećmi, nikt ekscesów w samolocie nie robi. To zwyczajni Europejczycy bez cienia wąsa choćby. Skąd więc te karkołomne próby wmówienia, że typowy polski emigrant przypomina Mariana?

Współczesny polski emigrant być może ma w spadku po Marianie wąsy mentalnie. Za każdym razem, gdy w weekendy robi z domu małą melinę, gdy uchlewa się z okrzykiem: „niech świat patrzy, jak się szlachta bawi”, kiedy w sobotni wieczór natchniony wódką „Huzar” wyzywa Irlandczyków od świń, a w poniedziałek karnie u tych samych Irlandczyków pracuje za najniższą stawkę; rosną mentalnie wąsy każdemu, kto oszczędza tylko po to, żeby dwa razy do roku zrobić w Polsce pokazową popijawę, „tańcz, głupia tańcz, swoim życiem się baw, na spotkanie ognia leć”, jak grał i śpiewał Lady Pank. Rosną wąsy sumiaste głównie wtedy, gdy robimy to wszystko, będąc w mocnej grupie pod wezwaniem, a których byśmy się wstydzili, będąc sami ze sobą bądź przy rodzinnym stole. Zabij wåsacza, on tu nie pasuje.

4. Polska szlachta wita Panią Prezydent Irlandii.

Rzecz się stała niesłychana, bo polski szlachcic i polski górnik wraz z pozostałą bracią studencką Prezydent Irlandii, Panią Mary McAleese powitała! Zdarzyło się to na pikniku międzykulturowym w dublińskim college'u Whitehall. To szkoła dla dorosłych, czyli Further Education, gdzie, jak podała dyrektorka, uczą się dorośli studenci z ponad 35 krajów. Wśród przedstawicieli przeróżnych narodowości afrykańskich, europejskich i azjatyckich są także Polacy. Co roku w tej szkole organizowany jest taki piknik interkulturalny w trakcie którego wszystkie narodowości prezentują sobie wzajemnie to, co w ich kulturze i rodzinnym kraju jest najcenniejsze i najciekawsze. Od strojów poprzez tradycyjne potrawy po tańce i śpiew.

Wizyta Głowy Państwa.

W tym roku także odbył się ów piknik, z tym że tym razem, złożyła na nim swoją wizytę Mary McAleese, Prezydent Irlandii. Bezpośrednim powodem tej wizyty było otwarcie nowego budynku przy szkole, w którym mieścić się będzie żłobek dla dzieci studentów tego College'u. Dlatego tegoroczny piknik odbył się z większą pompą niż zwykle. Protokół wizyty obejmował odwiedzinę każdego ze stoisk narodowych prezentowanych na pikniku oraz krótkie przemówienie, w trakcie którego Pani Prezydent z zachwytem wyrażała się o wszystkich studentach, którzy chcą tu w Irlandii podnosić swoje kwalifikacje, by stać się konkurencyjnymi na rynku pracy, ale także dlatego, żeby spełnić swoje ambicje i marzenia o edukacji, których być może nie mogli zrealizować w swoich ojczyznach. Prezydent Irlandii podkreślała, że na naukę nigdy nie jest za późno i można ją rozpocząć w każdym wieku. M. McAleese odniosła się do własnych doświadczeń zawodowych, gdy jako początkująca prawniczka czuła się w sądzie osamotniona i niepewnie, tak jak prawdopodobnie czuć się mogą emigranci w obcym kraju. Zachęcała zatem, by się nie załamywać i nie rezygnować z wysiłku i chęci realizacji swoich marzeń, bo, jak zapewniała Głowa Państwa, mimo głębokiej recesji w Irlandii ciągle jest miejsce dla nas wszystkich. Pani Prezydent dziękowała także za wkład, jaki wnosimy swoją pracą, nauką, ale także odmiennością kulturową i językową w różnorodność dzisiejszej Irlandii. Według Pani Prezydent Irlandczycy mają głęboko w pamięci lata, gdy sami poniewierali się po świecie za chlebem i dlatego chcą, mimo trudności, by emigranci czuli się w Irlandii jak u siebie i by nie zaznali takiej poniewierki. Oczywiście nie mogło zabraknąć życzeń sukcesów w nauce.

Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Tak mawiała szlachta zaściankowa w I Rzeczypospolitej. Tym razem polski szlachcic mógł rzeczywiście czuć się jak wojewoda, bo do jego „zagrody” zawitała Prezydent Irlandii. Mówiąc poważnie, to trójka polskich studentów tego college'u przygotowała polskie stoisko na owym pikniku, które, jak wszystkie pozostałe, wizytowała Pani Mary McAleese. Polskie stoisko było skromniejsze od pozostałych. Z dań był jedynie bigos i polska kiełbasa, bo główny nacisk położono na prezentację postaci z polskiej historii dawnej i tej całkiem nowej. Chwaliliśmy się Janem Pawłem II, Marią Curie – Skłodowską, Lechem Wałęsą, Fryderykiem Chopinem i... Adamem Małyszem. Dominowały krajobrazy z Tatr, Mazur i polskich borów. Podziwiać można było Kraków, Warszawę, Gdańsk i Malbork. Absolutnym hitem okazały się stroje obu panów. Lech specjalnie na tę okazję wypożyczył z kieleckiego teatru strój XVIII-wiecznego szlachcica, który był